

lekarzy, pielęgniarki mógłby pójść na marne, gdyby wśród zwycięzców nie było ludzi skłonnych do podjęcia tej niebezpiecznej gry”.

Uważaliśmy, że wspomnienia te stanowią rzadki, a więc tym cenniejszy zapis rzeczywistości II wojny światowej i nie chcieliśmy pozwolić, aby uległy całkowitemu zapomnieniu. W rezultacie zdecydowaliśmy się na wydanie tego materiału jako rodzinnej pamiątki, nie starając się nadać mu bardziej historycznego ani też komercyjnego kształtu.

Oddając tę książkę do Państwa rąk, nie możemy nie wspomnieć z wdzięcznością tych wszystkich, którzy przyczynili się do jej wydania. Żałujemy jedynie, że nie można oddzielnie wymienić każdej osoby. Podziękowania kierujemy przede wszystkim do przyjaciół i znajomych, którzy wiernie sekundowali temu przedsięwzięciu, przez lata starając się na rozmaite sposoby ułatwić wydanie książki. Następnie dziękujemy kolejnym redaktorom, którzy zmagali się z trudną literacko materia. Wreszcie szczególne podziękowania chcemy złożyć naszym kuzynom Jackowi i Leszkowi Herman-Iżyckim. Ich pomocy a i niezwyklej determinacji Jacka zawdzięczamy finalizację całego przedsięwzięcia.

Bożena Sławińska
i Marcin Sławiński

Wstęp do drugiego wydania

Pierwsze wydanie wspomnień Danuty Sławińskiej ukazało się w 2006 roku, kiedy temat pruszkowskiego obozu pozostawał w cieniu. Dla czytelnika zainteresowanego jego historią dostępne były dwa opracowania: Edwarda Serwańskiego *Dulag 121 – Pruszków* (Poznań 1946) i Edwarda Kołodziejczyka *Tryptyk warszawski* (Warszawa 1984), kilkanaście świadectw zawartych w antologiach dokumentów i relacji z II wojny światowej, a także krótkie wzmianki w literaturze wspomnieniowej z tego okresu. Taki stan rzeczy wynikał po części z tego, że materiał faktograficzny dotyczący obozu w Pruszkowie był i jest nader skromny. Nie zachowała się niemiecka dokumentacja dotycząca jego funkcjonowania, nie ma nawet pewności, czy takowa była prowadzona, a jeśli tak, to w jakim zakresie. Dokumenty, które się zachowały, to w przeważającej mierze przepustki bądź zaświadczenia wydawane przez władze obozu, krótkie listy z wołaniem o pomoc pisane do rodzin znajdujących się poza murami obozu, a także kilkanaście dokumentalnych zdjęć. Ale w równej mierze owe braki są następstwem instytucjonalnego zaniechania. Aż do 2010 roku nie istniała żadna placówka, która w systematyczny sposób zbierałaby i opracowywała dokumenty, pamiątki oraz pisemne bądź ustne relacje na temat historii Durchgangslager 121.

Kiedy kłamstwo było cnotą. Wspomnienia z pracy w obozie przejściowym w Pruszkowie 2.IX.1944–16.I.1944 Danuty Sławińskiej są

jedyną książką wspomnieniową poświęconą w całości Dulagowi 121 i stanowią najobszerniejsze tego typu świadectwo. Tym cenniejsze, że Autorka, pracując w Pruszkowie jako tłumaczka przy komisji lekarskiej, miała bezpośredni kontakt zarówno z osobami wysiedlonymi z Warszawy, polskim personelem pomocniczym, jak i z niemieckimi władzami zarządzającymi obozem. Stanowią one jedno z podstawowych źródeł wiedzy o ich działalności oraz wzajemnych między nimi relacjach, a także o warunkach panujących w pruszkowskim obozie. Ich lektura pozwala też w znaczący sposób uporządkować fakty, uzupełnić chronologię przebiegu zdarzeń i wzbogacić opowieść o obozie pruszkowskim o sylwetki osób, bezcenne detale dotyczące m.in. jego topografii oraz anegdoty, wartościowe również dla historyka. *Kiedy kłamstwo było cnotą* obok istotnych informacji wskazuje także na owocne poznawczo tropy, które wymagają dopiero wnikliwej pracy badacza.

W 2010 roku na obrzeżach byłych Warsztatów Kolejowych w Pruszkowie, gdzie 6 sierpnia 1944 r. Niemcy utworzyli obóz przejściowy, powstało Muzeum Dulag 121. Jego misją jest zbieranie i opracowywanie materiałów, które w przyszłości pozwolą być może w wyczerpujący sposób opowiedzieć jego historię. Wspomnienia oraz archiwum Danuty Sławińskiej, które przekazała w depozyt Muzeum Dulag 121 jej córka Bożena Sławińska, są jednym z najcenniejszych elementów muzealnego zbioru. W jego skład wchodzi bezcenne dokumenty związane z pracą tłumaczki i sanitariuszki, m.in. zaświadczenia wydawane przez lekarzy niemieckiej komisji lekarskiej, zezwolenia na przejazdy i karty urlopowe sygnowane przez komendanta Dulagu 121, dokumenty podpisane przez żandarmerię i gestapo, a także notatki, jakie Autorka czyniła na bieżąco w okresie, gdy pracowała w obozie.

Zarówno archiwum Danuty Sławińskiej, jak i informacje zebrane dotąd przez Muzeum stały się podstawą drugiego, uzupełnionego wydania wspomnień. Podczas pracy korzystaliśmy także z bogatych materiałów, które Autorce udało się zebrać po zakończeniu wojny, w szczególności z korespondencji z tłumaczkami i sanitariuszkami Kazimierą Drescher i Alicją Tyszkiewicz oraz z Karlem Fritzem Wolffem, sierżantem sztabowym jednostki Wehrmachtu zarządzającej Dulagiem 121 – bohaterami książki.

W ustaleniu niektórych szczegółów pomocne były też rękopisy i maszynopisy wspomnień.

Tekst opatrzone obszernymi objaśnieniami oraz poprawiono pisownię niektórych nazw własnych i nazwisk. Z myślą o wygodzie czytelnika książka wzbogacona została także o trzy dodatki: wykaz stopni wojskowych, policyjnych i SS, wraz z ich hierarchią oraz polskimi odpowiednikami; kalendarium opuszczania przez ludność kolejnych dzielnic Warszawy oraz plan obozu, który pomoże zorientować się w zawilej topografii pruszkowskiego obozu. Książka poddana została również nieznacznym zabiegom korektorskim i redakcyjnym.

Po konsultacjach z rodziną Autorki zdecydowaliśmy też, aby wspomnienia ukazały się pod jej pełnym imieniem i nazwiskiem, co przyszłemu czytelnikowi ułatwi orientację w literaturze przedmiotu i pozwoli szybciej dotrzeć do informacji o Annie Danucie Sławińskiej.

Zespół Muzeum Dulag 121

Przedmowa

Gdy po 20 latach od Powstania i ewakuacji Warszawy nie ukazało się nic o obozie pruszkowskim, co można by uznać za wystarczające, i gdy zrozumiałam, że nigdy nie będzie możliwe opracowanie monografii tego obozu, zachęcona przez przyjaciół (kompetentnych ludzi z konspiracji) znających moje dzieje – zabrałam się do spisywania moich wspomnień z okresu pracy w Pruszkowie.

Pisałam z potrzeby serca przepełnionego miłością i goryczą. Gorycz dotyczyła losu mojego miasta, które uległo razem ze swoją ludnością przemocy w służbie pychy i brutalnej bezwzględności. Miłość obejmuje wszystkich ludzi walczących o słuszną sprawę, którzy wtedy i tam przeciwstawiali się bezdusznej sile głupców opętanych ideologią zła. Są to moje, bardzo osobiste wspomnienia obejmujące prawie cały okres istnienia przejściowego, zbiorczo-rozdzielczego obozu na terenie Warsztatów Naprawczych Taboru Kolejowego, likwidowanych wówczas przez Niemców.

Prawie nikt z polskiego personelu pomocniczego nie przeszedł przez obóz już 12–13 sierpnia (jako uchodźca), by potem być pracownikiem dochodzącym z zewnątrz (od 2 września 1944 roku do 16 stycznia 1945 roku). Żadna z tłumaczek nie trwała u boku lekarzy niemieckich od aresztowania Drescherowej i Jakubowskiej (12 września), aż do wyjazdu z Pruszkowa jednostki

Wehrmachtu Dulag 121* (12 grudnia 1944 roku), i nie pracowała potem jeszcze w styczniu 1945, zatrudniona przez Sammelstelle für Kriegsgefangene.

Świadoma, że uczestniczę w historii, robiłam notatki, potem starałam się wydatować zapamiętane wydarzenia i poszczególne obrazy. Uzupełnić je, weryfikując swoją pamięć i wrażenia z osobami, które patrzyły na to samo, a mogły wiedzieć więcej lub patrzeć inaczej. Sięgałam do źródeł historycznych dotyczących Powstania, również w języku niemieckim („Warschauer Aufstand 1944” Hansa Kranhals). Byłam w Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich, gdzie rozmawiałam z Józefem Datnerem, którego praca pt. „Zbrodnie Wehrmachtu na jeńcach wojennych” bardzo wiele mi wyjaśniła. Dla odświeżenia pamięci byłam też na terenie warsztatów kolejowych w Pruszkowie. Udało mi się również odnaleźć w Berlinie ważnego świadka – podoficera z Dulagu, sierżanta sztabowego K. F. Wolffa, zwanego Matką Kompanii, sprawdzonego sojusznika z minionych lat. Nieoczekiwanie stał się po wojnie źródłem informacji i przyjacielem.

Komplikacje rodzinne i konieczność ponownego podjęcia pracy zarobkowej uniemożliwiły mi ostateczne dopracowanie spisanych wspomnień i staranie się o ich wydanie drukiem. Moje zapiski powędrowały do szuflady.



To, co ukazało się drukiem w ciągu następnych 30 lat, nadal nie wyczerpywało tematu. „Exodus”, wspaniała praca dokumentalna, w której znalazło się moje okupacyjne zdjęcie i fotografie Niemców z mojego prywatnego zbioru, nie zawiera wielu danych ani wątków poruszanych w moich wspomnieniach. Pierwszy tom „Exodusu” to wzruszający przekaz losów wypędzonych mieszkańców stolicy. Wiele miejsca zajmują tam relacje dotyczące obozu jako etapu, przez który przechodziła ludność Warszawy po Powstaniu, ale pominięto w nim trzymiesięczny okres działania obozu po ostatecznej ewakuacji miasta (okres „łapankowy”). Brak też sylwetek wielu znanych mi osób spośród polskiego personelu oraz opisu sposobu, w jaki codziennie walczyły one o ocalenie każdego człowieka, a także emocji i zagrożeń tej walce towarzyszących.

* Dulag – skrót od niem. Durchgangslager, obóz przejściowy.

Wobec tego uznałam za obowiązek dopracowanie całości moich wspomnień, włączając w nie ostatni okres działania obozu, by udostępnić czytelnikowi „moją” prawdę o pruszkowskim obozie, spojrzenie z innego miejsca, przekazane wraz z całym bagażem uczuciowym z tamtych lat, do dziś przeze mnie niesionym. Chyba mogę powiedzieć, że chciałam spłacić dług zaciągnięty u losu, który pozwolił mi działać z widocznym, pozytywnym skutkiem, podczas gdy większość z nas wówczas nie miała wpływu ani na własny, ani na los tysięcy nieszczęśliwych Polaków.

Warte przekazu wydawały mi się nie tylko suche dane o działaniu czterech sił obecnych w obozie: trójwładzy niemieckiej (Wehrmacht, policja i Arbeitsamt) i nas Polaków, ale również opis antagonizmów i bardzo dziwnych niekiedy aliansów. Chciałam ukazać zwykłych ludzi w białych fartuchach z opaską Czerwonego Krzyża i ludzi w mundurach koloru feldgrau*, jak również ludzi w mundurach różnego kroju i barwy, przez których ręce miłosierne lub wrogie przechodziła Warszawa.

W powyższym kontekście piszę o roli komendanta Dulagu pułkownika Sieber, którego niewzruszone trwanie na straży honoru niemieckiego żołnierza (nie Hitlerowca!) umożliwiło jego podwładnym zachowanie człowieczeństwa i wpłynęło w sposób decydujący na stanowisko niemieckich lekarzy z komisji lekarskiej, którzy starali się być wierni przysiędze Hipokratesa. Miało to decydujący wpływ na nasze polskie możliwości działania. Postawa komendanta miała też znaczący wpływ na obozowe losy członków polskiego personelu, w tym również i moje.

Forma przekazu, na jaką się zdecydowałam, jest wynikiem kilku różnych czynników. Chodziło mi o przekazanie prawdy o obozie pruszkowskim za pomocą wiarygodnego i atrakcyjnego dla czytelnika tekstu. Staralam się przedstawić kolejne wydarzenia, ludzi, ich słowa i działania tak jak je poznawałam, aby dać czytelnikowi szansę wyciągania wniosków. Chciałam, aby czytelnik mógł przenieść się wraz ze mną na koniec pamiętnego upalnego lata 1944 roku pod Warszawę, na teren warsztatów kolejowych, i moimi oczami zobaczyć, co się tam działo, i w końcu dotarł wraz ze mną do wysadzenia pruszkowskiej

* feldgrau – dosł. połowy szary, określenie na kolor niemieckich mundurów

elektrowni oraz składów amunicji w komorowskim lasu (16 stycznia 1945 roku).

Trzecia część mojej opowieści to okres po zakończeniu ewakuacji miasta. Trzy miesiące polowania na ludzi, podczas których brutalnie wygnani z domów mieszkańcy Warszawy trafiali z łapanek do Pruszkowa, by powiększyć rzesze wysyłanych na roboty.

Obóz kurczy się i zmienia. Nas jest coraz mniej. Mniej jest czynnych baraków i mniej ciężkiej pracy. Napływają setki, a nie tysiące ludzi. Niemcy z Dulagu, ze swym komendantem na czele, piją na umór, wstydząc się tego, w czym biorą udział, i bojąc się tego, co musi nastąpić w najbliższej przyszłości.

Ta część moich wspomnień jest zdominowana przez przeżycia moje i garstki pozostawionego polskiego personelu (wraz z opisem tragicznego w skutkach aresztowania kilkorga kolegów z powodu ich żydowskiego pochodzenia). Jest to przykry akcent związany z odjazdem Dulagu. Z kronikarskiego obowiązku i potrzeby serca opisałam ze szczegółami tę blisko mnie dotyczącą tragedię. Według na bieżąco robionych notatek opisuję styczniowe łapanki kolejowe. W groteskowy sposób zamykają one dzieje obozu i kończą wątki osobowe poszczególnych bonzów z policyjno-partyjnego bloku.

Kończąc, chcę zaznaczyć, iż moje wspomnienia nie są zbeletryzowaną wersją wydarzeń, lecz zapisem rzeczywistości zgodnym z robionymi na żywo notatkami. Jeśli opisywanemu dramatowi towarzyszy humor i groteska, to dopisało je jak zwykle samo życie.

Anna Danuta Sławińska

Warszawa, 1995

CZĘŚĆ 1

Wrzesień – bandyci i ludzie

Z grubsza orientowałam się już w charakterze pracy polskiego „sanitariatu”. Znając halę nr 2, widziałam, jakie możliwości mają ludzie tam przebywający. Czułam potrzebę „wyższego wtajemniczenia” – zapoznania się ze szczegółami pracy najbardziej unerwionej komórki obozowego potwora. Barak szpitalny z urzędującą wewnątrz komisją lekarską wybrałam sobie jako teren mojej działalności. Uznałam, że tam najbardziej się przydam i najlepiej wykorzystam znajomość niemieckiego. Poza tym coś jeszcze ciągnęło mnie w stronę komisji lekarskiej – tym „czymś” była osoba przewodniczącego.

Hala nr 2, czyli tak zwany barak szpitalny (w skrócie B2 od niemieckiego Baracke 2), stanowiła siedzibę niemieckiej komisji lekarskiej, zwanej „Olimpem”. Była to nowoczesna hala fabryczna z górnym oświetleniem, dzieląca się jak kościół na trzy nawy, z kolumnadami słupów konstrukcyjnych. Wnętrze miała widne i dość estetyczne, bielone w środku. Przednia ściana otwierała się całkowicie, jak w lotniczym hangarze. Z lewej i prawej strony były dodatkowe ogromne, dość przewiewne drzwi. Wzdłuż hali biegły dwa kanały rewizyjne – głębokie na półtora metra rowy, wykorzystywane przy naprawie podwozi wagonów kolejowych, bo dwójka to dawna parowozownia. Betonową podłogę przykrywały deski i słomiane maty. W głębi z prawej znajdował się mały wydzielony kantorek, oszklony do połowy – rodzaj dyżurki, czyli ambulatorium, a obok schodki prowadzące na głęboką antresolę otwartą w kierunku hali. Na środku pod ścianą, niby ołtarz, stał ogromny, długości około pięciu metrów i przeszło metrowej szerokości stół z mocnych desek, bejcowany na ciemno. Za nim zasiadała „wysoka komisja”: dwóch (czasem trzech) niemieckich lekarzy i kilka Polek – lekarek lub siostr z personelu pomocniczego, władających niemieckim, pełniących funkcję tłumaczek i zarazem sekretarek. Pomagało również dwóch magistrów farmacji. Wszyscy w białych fartuchach, Niemcy urzędowo w czapkach wojskowych na głowie.

Stół przykrywały stosy makulatury – beużyteczne, zadrukowane po jednej stronie kartoniki i arkusze papieru kancelaryjnego w kratkę, kalka, ołówki. Tę tylną część odgradzają od reszty hali specjalnie zamontowane drewniane bariery. Rowy rewizyjne dzieliła pozostała część na trzy, z których każda jest przeznaczona dla innej kategorii ludzi: środkowa dla nowo przybyłych, prawa

dla zwolnionych do szpitala, lewa dla skierowanych przez komisję na B1, czyli przeznaczonych do wywiezienia na teren GG z niezdolnymi do pracy. Na B1 kieruje się indywidualnie „kartką” pisaną ołówkiem. Na miejscu zwalnia się ludzi grupowo, wpisując nazwiska na długie listy. Do tego celu służą arkusze papieru kancelaryjnego wypełniane przez kalkę w dwóch egzemplarzach, z których jeden otrzymuje później żandarmeria. Każdy arkusz zamiast nagłówka był zaopatrzony w nazwę miejscowości, gdzie znajdował się szpital: Milanówek, Podkowa, Tworki, Komorów itp. Listy i kartki wypisują Polki, Niemcy czasem tylko uzupełniają diagnozy, podając jakieś nazwisko czy wiek. Zasadniczo ograniczają się do podpisu u dołu listy lub na indywidualnych kartkach pod napisem Stabsarzt, wykonanym przez Polkę. Osoby zatrudnione przy komisji wypisują dane poszczególnych pacjentów, przygotowując uprzednio rubryki na listach w języku niemieckim: numer kolejny, imię i nazwisko, diagnoza, numer kenkarty, wiek.

Niektóre listy z tego okresu grupowały ludzi kierowanych do szpitali zamkniętych, np. młodych mężczyzn ze zranieniami do szpitala w Tworkach, gdzie przed bramą stał wartownik i skąd zwalniano za zgodą naczelnego lekarza obozowego. Inne zawierały nazwiska większych grup chorych dotkniętych, powiedzmy, czerwonką, które szły do szpitali mających oddziały zakaźne. Zwykle jednak wpisywało się „jak leci” nazwiska podchodzących kolejno do stołu komisyjnego. Były to osoby chore lub pragnące po prostu wyjść z obozu, by nie jechać na roboty do Niemiec, ale też ominąć B1, czyli transport w dalsze rejony Generalnej Guberni. Ci ostatni musieli być podciągnięci pod kategorię niezdolnych do pracy, a także zostać uznani za Transportunfähig*. Decydowali o tym niemieccy lekarze zasiadający w komisji. „Nagle wypadki” były doprowadzane bezpośrednio do baraku szpitalnego przez polski personel pomocniczy.

Niemieccy lekarze nieznający polskiego posługiwali się więc Polakami jako tłumaczami w rozmowie z pacjentem. Dokumenty, wygląd chorego oraz informacje od tłumacza stanowiły dla Niemców jedyną podstawę do powzięcia decyzji. O badaniu chorych nie mogło być mowy. Przed komisyjnym stołem przeciętnie przechodziło tysiąc dwieście do tysiąca ośmiuset osób dziennie.

* Transportunfähig – niezdolny do transportu

Wystarczyła moja znajomość niemieckiego. Operowałam wyrazami „rana” i „postrzał”, dodając nazwę odpowiedniej części ciała. Najgorzej z łaciną. Na nic nie przyda mi się wyraz „puer” (chłopiec) ani odmiana wyrazu żaba – „rana”, „ranae” (pierwsza deklinacja). Zazdroszczę dr Węgier nie tyle studiów medycznych, ile znajomości łacińskich terminów, które są tutaj hasłami otwierającymi wrota Sezamu. Dobrze byłoby znaleźć kogoś, kto by mnie poduczył.

Po spisaniu moich rannych poszłam do Königa.

– Herr Stabsarzt, mam tu taką małą listę – piętnaście osób, sami ranni i jedna bardzo wycieńczona kobieta z dzieckiem. Była kontuzjowana, nie nadaje się do transportu, jest chora na serce. – Mógłby mi pan podpisać?

Nie chciałam użyć tego błagalnego tonu, ale w ostatniej chwili się przestraszyłam, głos mi drżał. Obrzucił mnie ironicznym spojrzeniem.

– Wo sind sie?*

– Tam, tamta grupka obok noszy.

– Ach so...

Kiedy czytał listę, wstrzymałam oddech. Wziął ołówek i coś poprawiał. Zerknęłam i zrobiło mi się gorąco, chyba byłam czerwona jak burak – poprawiał błędy ortograficzne! Pomyślałam, że zaraz mnie zwymyśla. Nagłym ruchem podniósł głowę, spojrzał na mnie i uśmiechnął się wesoło.

– Also gut!**

Odetchnęłam. Teraz podpisze! Nie zrobił tego. Zwrócił się do stojącej przed nim kobiety.

– Tu was dopiszę.

Spisywał personalia z leżących przed nim kenkart dwóch kobiet, z którymi mówił po niemiecku. Jednej, która pokazała mu „książeczkę odmową”***, wpisał *tbc pulmonum*, na drugą, młodszą, patrzył przez chwilę – twarz dziewczyny stężała w napięciu. Na liście pojawiło się mnóstwo kanciastych, mało czytelnych znaków. Odcyfrowałam z trudem *vitium cordis*****. Poniżej zama-

* Wo sind sie? – Gdzie oni są?

** Also gut! – Bardzo dobrze!

*** odmową – od „odma”, choroba płuc

**** *tbc pulmonum* – gruźlica, *vitium cordis* – wada serca

szysty podpis. O wadzie serca nie było mowy – Niemiec ma widać zdolności telepatyczne. Lista stała się prawomocna, w każdym razie tu na dwojce. Reszta zależała od policji.

König nie odrzucił mojej listy, mojej pierwszej listy. Zaaprobował ją, przyjął mnie do grona współpracujących z nim osób.



Przed zaśnięciem lubię sobie porozmyślać. Teraz marzy mi się pięćdziesięcioosobowa lista, na której oprócz kilku rannych znaleźliby się inni, starannie dobrani przeze mnie „chorzy”. Ładne dziewczęta, przystojni młodzieńcy – jako lekkomyślna „złota młodzież” mogą być zarażeni syfilisem – tacy, którzy czerwienią się przed komisją, spuszczać wstydliwie oczy. Nowo poznany wyraz *lues** brzmi mi w uszach jak muzyka w skojarzeniu z jego magiczną, zwalniającą mocą. Jakiś blad, nadmiernie wyrośnięty chłopak to gruźlik – po krwotoku. Kobieta w średnim wieku cierpiąca na cukrzycę. (Czy cukrzyca po niemiecku to *Zuckerkrankheit*?). Później seria wrzodów żołądka i dwunastnicy, kamieni wątrobowych, piasku w nerkach i pęcherzu dla panów o żółtej cerze lub podpuchniętych oczach. Do tego naturalnie „wzmacniająca” porcja reumatyzmów, ischiasów i zaburzeń układu krążenia. Któryś z mężczyzn może też cierpieć na hemofilię. Młode dziewczęta z przewlekłymi lub ostrymi zapaleniami jajników, z wrodzonymi wadami serca, ze stanami podgorączkowymi. Co druga musi mieć przy tym epilepsje, zapalenie wyrostka albo cierpieć na ogólną nerwicę lub po prostu być niedorozwinięta, kontuzjowana czy garbata. Dobrze by było mieć też na takiej liście beznadziejny przypadek raka, jakąś kobietę po poronieniu lub krwotoku ginekologicznym.

Żeby tylko lepiej poznać terminologię medyczną. Bez tego nie ma mowy o grubszym szwindlu, bo mogę podpaść Königowi, a za bardzo zależy mi na jego opinii. Już i tak ciągle go o coś pytam. Przed kolegami też nie chcę się całkiem dekonspirować. König traktuje przychylnie każdą inicjatywę, przyspieszającą zwolnienia. Mnie wita już przyjaznym skrzywieniem ust. Klenner też mnie rozróżnia, choć nie wiem, czy ocenia moją „pozytywną działalność”, czy też frapuje go co innego.

* *lues* – kiła

Realizacja moich planów posuwa się szybko, muszę być tylko bardzo ostrożna i lepiej „obkuta”. Jestem prawie pewna, iż König podpisze wszystko, nawet podejrzewając, że to kłamstwo, jeśli tylko będzie miał zabezpieczenie przed wpadką. Chodzi o to, żeby umieć kłamać bezczelnie i zręcznie. Wierzę, że potrafię – sama już wierzę we własne kłamstwa. A przecież idąc do pierwszej spowiedzi, miałam tylko dwa kłamstwa na sumieniu. Dwa razy skłamałam do dwunastego roku życia i tak się tego wstydziłam! Teraz z lubością planuję oszustwa. Prześlizguję się obok prawdy i w dodatku jestem z tego dumna. Moim hasłem jest: „Precz z prostolinijną szczerością, niech żyje kłamstwo docelowe! Niech żyje kłamstwo ratujące przed kłamecami! Perfidia przeciw perfidnym”. Cel uświęca środki? My kłamiemy, żeby ratować, a nie żeby zabijać.



Dwójka – przerwa obiadowa. Zjawiam się tam wbrew normalnemu zwyczajowi, bo zwykle w czasie, kiedy nic się nie dzieje na dwójce, jestem gdzie indziej. Tymczasem właśnie tu odbywa się coś ciekawego. Przy stole kilka osób. Białe fartuchy i kobiece postacie z opaskami zasłaniają osoby siedzące przy stole. Nie opodal stoi jeden z postów pilnujących na dwójce porządku w czasie urzędowania. Czyżby lekarze pracowali podczas przerwy? Przed stołem nie widzę jednak pacjentów. Moje zbliżenie wywołuje pewien niepokój. Widzę, że przy stole siedzi „Frau Doktor” Drescher. Prócz pani Kazimiery rozpoznaję pochyloną nad listami siwą głowę pani Urbańskiej. Piszą w pośpiechu. Kończą wypełniać arkusze danymi, które przepisują z leżących obok kartek. Po wypełnieniu „dodatkowe” listy wędrują do szuflady i post (nie wierzę własnym oczom) zamyka ją na klucz. A wiec Niemiec jest w zмовie? Ma drugi klucz do szuflady. Nie pytam, co za to dostał – pieniądze czy wódkę. Akcja „lewych list” zwolnieniowych kwitnie! Potem Niemcy będą się dziwić, że ranne urzędowanie przyniosło aż tak obfity plon! No, o tym z pewnością nie powinni wiedzieć – to jest „gardłowa sprawa”. Te kobiety mają odwagę, żeby robić to przy stole, właściwie oficjalnie. Tego bym nie ryzykowała. Swoją drogą wachman coś musi brać, to ich jedyna gwarancja, że nie sypnie, ale przypilnuje.



Moje marzenia, by poznać łacińską terminologię, spełniły się w momencie, kiedy stała się ona bardzo potrzebna, bowiem do obozu napłynęła kolejna fala ludzi. Przez trzy dni (7, 8 i 9 września) w rezultacie zrzuconych ulotek i prowadzonej akcji propagującej uroki pruszkowskiego „sanatorium” ludność cywilna wychodziła dobrowolnie z ulic otaczających Śródmieście. Wyszło w tym czasie około 80 tysięcy ludzi (pierwszego dnia około piętnastu, drugiego około 30 tysięcy ludzi). Wśród nich byli nienadający się ani do walki, ani na roboty, ale również tacy, którzy wychodzili dobrowolnie lub zostali zgarnięci przez Niemców i świetnie się nadawali do pracy. Napływ zdrowych i młodych ludzi wywoływał konieczność zdwojonej aktywności ze strony polskiego personelu. Musieliśmy zmobilizować całą energię, żeby się skutecznie przeciwstawić działaniom funkcjonariuszy Arbeitssamtu i policji. Walka szła na całego, mniej z terrorystycznymi posunięciami gestapo, jak to miało miejsce w wypadku Starówki, a właśnie z Arbeitssamtem, który rzucił się na nowy łup, chcąc wykorzystać trafiający do obozu wartościowy materiał ludzki.

Lewe listy nabrały więc jeszcze większego znaczenia. Właśnie wtedy spotkałam Madzię Kozarzewską (z domu Bojanowską). Stało się to całkiem niespodziewanie na dwójce. Nie wiedziałam nawet, gdzie mieszkała po wyjściu za mąż. Była starsza ode mnie o kilka lat, znałyśmy się od dziecka. Zawsze uchodziła za przykład wszelkich cnót i doskonałości. Skończyła medycynę i była obiecującą młodą lekarką. Ogromnie się ucieszyłam ze spotkania, z tego, że ocalała i jest zdrowa. Była w zaawansowanej ciąży, a więc nic jej nie groziło. Będąc na dwójce, wyjdzie łatwiej niż ktokolwiek inny. O nią nie potrzebowałam się martwić. Niestety, nie przyszła do obozu sama. Była z mężem, z którym ją rozdzielono. Znajdował się prawdopodobnie na szóstce jako zdolny do pracy (arbeitsfähig). Odnalezienie go było niełatwe, tym bardziej żeśmy się nie znali. Głośne wywoływanie nazwiska w baraku, w którym przebywali zdolni do pracy mężczyźni, zwracało uwagę. Wejście do hali było uzależnione od dobrej woli lub nieuwagi wartownika; jeżeli miało się tylko kartkę lub rzeczy do oddania, jakoś udawało się to załatwić, jednak wyprowadzenie kogoś stamtąd graniczyło z cudem. Przeznaczonych do wywiezienia na roboty mężczyźni pilnowano ze wzmożoną czujnością. Zdecydowałam, że pójde tam w czasie przerwy obiadowej. Mia-

Szybko więc, ale w mało sprecyzowanej formie, rozeszła się również druga wiadomość dnia. Desant! Desant sowiecki! Gdzie? Na Powiślu, na Czerniakowskiej, podobno w okolicach Solca. To byłoby logiczne, tam są jeszcze nasi, ale nic dokładnego nie wiadomo. Kiedy? Nie wiemy, czy wczoraj, czy dziś w nocy, a może to w ogóle plotka, jedna z tych pocieszających. Może próba desantu? Albo tylko wzmożony ogień artyleryjski – głośno tam już od kilku dni.

Wszyscy starają się zdobyć jakieś konkretne wiadomości o obu sprawach. Trójka naszych kolegów odjechała z Włoch wraz z transportem około czterech tysięcy mężczyzn. Mężczyźni zgłosili się na wezwanie, posłuchali zarządzenia, przybyli „dobrowolnie”, by wyjechać na roboty. Dobrowolność problematyczna, bo karą za niestawienie się miała być śmierć, ale ponieważ za połowę przewinień groziła od lat ta sama najwyższa kara, mówiło się, że „przybyli dobrowolnie...”. Przybyli dobrowolnie i pojechali podobno do obozu. Nikt z nas nie wiedział oczywiście do jakiego. Mówiono, że nasze panie „pojechały do Ravensbrück”, ale mężczyźni nie. Tam był obóz kobiecy. Więc raczej Oświęcim? Jeżeli pojechały z mężczyznami i jeżeli transport poszedł do obozu koncentracyjnego...

Kazimiera Drescher, żona lekarza przebywającego w Warszawie w szpitalu w Śródmieściu, matka kilkuletniego synka pozostawionego w Podkowie Leśnej u dziadków, odjechała wraz z Janiną Urbańską vel Jakubowską, wdową po pułkowniku WP, zasłużoną działaczką Związku Zachodniego (poszukiwaną przez gestapo), do obozu w Oświęcimiu. Tym samym transportem odjechał z nimi sanitariusz Władysław Wyszyński oraz przebywające na Parkowej trzy prostytutki. Wagony do transportu podstawiono we Włochach, poza murami obozu.



W obozie wre od gorączkowych szeptów. Tematem jest oczywiście sytuacja w Warszawie. Ludzie przekazują sobie zasłyszane najświeższe wiadomości, wszystkie równie prawdopodobne, wszystkie równie niepewne... Pomoc zza Wisły... Nasze oddziały – chłopcy od Berlinga – wylądowali! Niemcy nie puszczaają farby. Sami nie wiedzą?

O wielu sprawach dowiadujemy się po powrocie Alicji Tyszkiewicz. Ona będzie teraz najlepszym łącznikiem między niemiecką

górami i naszym personelem. Teraz, kiedy zabrakło pani Zuli, ona jedna posiada specjalne możliwości w zielonym wagonie.



Nieduża postać w szarym habicie ściągniętym skórzanym paskiem. Podwinięte rękawy odsłaniają na złoto opalone ramiona. Proste skórzane sandały i takiż pasek od zegarka wyglądają sportowo i szykownie. Czarny mały czepeczek przykrywający płowe krótko obcięte włosy dopełnia całości stroju. Siostra urszulanka Alicja Tyszkiewicz – „Die graue Schwester”, „szara eminencja” jak ją niekiedy nazywają – przemierza obóz energicznym, szybkim krokiem, czasem uśmiechnięta, czasem ze ściągniętymi uporem brwiami i głęboką zmarszczką na czole. Jest bardzo przekonująca – budzi sympatię. Pełni obecnie w obozie funkcję Oberschwester. Po zmianach w komisji lekarskiej w dalszym ciągu zasiada obok lekarzy niemieckich, magistra Kowalskiego i młodej lekarki dr Janiny Węgierówny.

Wraz z rudowłosą panią Hanką Chomiczową i kilkoma innymi osobami należy do starej gwardii obozowej. Popularna zarówno wśród polskiego personelu, jak i wśród Niemców. Jej pozycja u tych ostatnich jest bardzo mocna. Tytuł przy jej znanym nazwisku i habit zakonny są czymś w rodzaju etykiety, która nie powinna budzić zastrzeżeń u Polaków i jest równocześnie plusem w stosunkach z Niemcami. Niemiecki zna perfekcyjnie, jest rzeczą ogólnie znaną, że babka jej była Niemką, ona zaś studiowała w Wiedniu i podobno z tamtych czasów zna Wieczorka, Hauptmana żandarmerii. Melanż sprzyjających okoliczności i pozorów postawił ją na czele polskiego personelu sanitarnego, a oczywiście gra tu jeszcze rolę jej ciekawa indywidualność. Przyglądam się siostrze urszulance uważnie, podpatrując jej sposób bycia i działania. Z Niemcami jest swobodna, koleżeńska, choć raczej szorstka. Potrafi żartować, to znowu stawia się energicznie. Czasem traktuje ich z góry, „z wieku i urzędu”. Jest w tej chwili, nie licząc magistra Kowalskiego, bodajże najstarszą osobą w zespole komisji lekarskiej – ma około trzydziestu pięciu lat, choć wygląda na dziesięć mniej. Mówi głośno, krótkimi zdaniami. Z natury wesoła, przy każdej okazji szerzy zęby, choć niejednokrotnie ów śmiech jest wymuszony. Wychwytuje to z łatwością – widać nie umie oszukiwać. No tak, zakonnica musi być prawdomówna,

Niemcy też pewnie na to liczą: „Ta rąbie prawdę w oczy, ale nie będzie szwindlować”. Często zwracałam się do niej z różnymi prośbami – chętnie słucha, spełnia w miarę możliwości szybko, bez korowodów i zbytnej straty czasu. Pyta:

– Jak się nazywasz”?

– Danuta.

– No dobrze – Dank!

Z wartownikami i żandarmami daje sobie radę. Zaskakuje jakimś przechodzeniem (dosłownie i w przenośni) mimo i ponad ich osobami, ważnością, przepisami. Sprawia wrażenie osoby, która nic sobie z tego wszystkiego nie robi. Poszczególnych ludzi zauważa jednak zawsze, pozdrawiając uśmiechem, skinieniem głowy czy dłoni, wesołym: „Wie geht’s? Schönes Wetter zum Wiederschauen!”*. Pani Drescherowa zachowywała się podobnie.

Niemieccy lekarze lubią „Die graue Schwester”. Trochę się z niej czasem nabijają (dobrodusznie, bez jadu), bo nie zawsze chwytła ich ironiczne, bardziej cięte lub dwuznaczne uwagi. Czasem nie rozumie, a czasem nie chce rozumieć – nigdy nie wiadomo. Czasem naiwność wycierająca z błękitnych, dziecinnych w wyrazie oczu Alicji bawi ich. Ta autentyczna, a niekiedy udawana naiwność stanowi olbrzymi atut. Alicja zachowuje się w stosunku do wszystkich bez wyjątku jak dobry kumpel. Protestuje, nie okazując strachu czy zażenowania. Wydaje się zawsze szczerą, spontaniczną, „przejrzystą”. Ten jej pozornie jednakowy ton w stosunku do wszystkich – Diehla, żandarmów, niemieckich lekarzy i wartowników, do nas – kolegów oraz ludzi przechodzących przez obóz – ma w sobie coś kapitalnie pociągającego. Nie mogę odgadnąć, na ile jest to jej zwykły sposób bycia, a na ile przyjęta świadomie poza. W każdym razie ten sposób bycia sprawdza się, a że czasem któryś z uśmiechów trochę od twarzy „odstaje”, to detal. My na ogół potrafimy je rozróżnić, Niemcy już nie. Ileż fałszywych uśmiechów oglądają tu co dzień, szczególnie ci z policji, Widzą przecież tylko „robione” uśmiechy.

Dla mnie Alicja jest bardzo wygodnym sprzymierzeńcem. Dostępna, bezpośrednia i zarazem rzeczowa, nie peszy mnie pomimo różnicy wieku. Inne osoby z komisji budzą moje onieśmienie.

* Wie geht’s? Schönes... – Co słyhać? Dobra pogoda na ponowne spotkanie.

Skupiona, „zamknięta” twarz młodej lekarki doktor Węgierówny czy poważne, ciężkie spojrzenie ciemnych oczu magistra Kowalskiego stwarzają dystans. Zdaje mi się, że mnie nie lubią (dziecinne!), może obserwują, nie mają zaufania. Od najważniejszej „doktor” Kiełbasińskiej – drażnią mnie jej wyszczerzone w uśmiechu zęby i protekcyjne poklepywanie – trzymam się z daleka. Pomijając nawet jej oficjalne wystąpienia, sposób, w jaki odmówiła mi pomocy przy zwolnieniu kilku biedaków, wywołał we mnie wrogość. Innych uważnie obserwuję i też jestem przez nich obserwowana.

Wszyscy wiedzieli, iż urodziłam się w Wiesbaden, gdzie moi rodzice mieszkali przez kilka lat. Postarałam się, aby dowiedziało się, że ojciec mój prowadził („in seiner Firma”*) przedstawicielstwa niemieckich fabryk z Zeissem na czele. Z drugiej strony wiedziano, też ode mnie, że byłam w czasie Powstania w Warszawie w szpitalu na Woli (w szpitalu, a nie w akcji naturalnie) i że przeszłam tam wiele ciężkich chwil.



Siostra Alicja Tyszkiewicz dowiedziała się o aresztowaniu i wywiezieniu koleżanek z komisji lekarskiej w momencie przekroczenia bramy obozowej. Nie przyszło jej nawet do głowy, żeby zawrócić, przeciwnie – pobiegła wprost do zielonego wagonu do Diehla po wyjaśnienia.

– Was für Schweinerei haben Sie mit Frau Drescher gemacht!*** – brzmiały jej pierwsze, pełne oburzenia słowa.

Diehl zdążył się przyzwyczaić do zachowania szarej siostrzyczki – była na specjalnych prawach. Odpowiedział, że „Die Drescher” szwindlowała ze zwolnieniami, wpisywała ludzi nielegalnie.

– A cóż ja ostatecznie robię innego przez cały czas?

Diehl udaje, że nie słyszy, ciągnie dalej:

– Drescherowa należała do AK.

Zmusić Alicję do milczenia nie jest łatwo. Nie wystarczy być pułkownikiem gestapo.

– Dziwne, że nic o tym nie wiedziałam.

* in seiner Firma – w swojej firmie

*** Was für Schweinerei... – Co za świństwo zrobił Pan Pani Drescher!

pojmuję dopiero w kilka sekund później. Oparta o ścianę nie mogę się ruszyć.

Chwilę po wyjściu lekarza wlokę się za nim do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie stoją piętrowe drewniane prycze. Leżący na nich ranni patrzą spode łba, ich nieufność jest widoczna. W tej chwili rani mnie to i zniechęca. Nie jestem zdolna do żadnego wysiłku. Niemcy kręcą się wokoło. König obchodzi salę, kończy rozmowę z sanitariuszami i wychodzimy.

– Wszystko w porządku – mówi.

To mnie przerasta.



Powstańcy ustawieni byli w podkowie obok zielonego wagonu, wyprostowani, bardzo spokojni, czekali. Postawa najwyższego, z jasną czupryną i chłopięcą twarzą skupia uwagę. My tkwimy zupełnie bezradni, oddzieleni od nich drutami i kordonem żandarmów. Jeńcy. Jest ich około dwudziestu. Broni ich prawo międzynarodowe, ale cóż znaczy tutaj prawo, kiedy bezprawie dzierży władzę, jest ciągle jeszcze silniejsze.

Wewnątrz małego wagonika kłębią się umundurowane postacie. Lśnią daszki powyginanych czapek ozdobionych trupimi czaszkami. Widać zielonkawę jak śniedź mundury żandarmów, czarne otoki gestapo. Przed godziną do wnętrza wagonu wszedł komendant obozu, jedyny w tym gronie policjantów przedstawiciel wojska. Cały czas widzimy jego sylwetkę. Nie usiadł, mówi coś, gestykułuje. Matka najwyższego wzrostem powstańca stanęła z boku – patrzy to na głowę syna, to w okna wagonu. Gestapo wyciągnęło z baraku wszystkich podejrzanych o bicie jeńców niemieckich (winnych wskazali poszkodowani) i chciało położyć na nich swą groźną łapę. Czekał ich los, jaki spotkał wziętą już wcześniej do niewoli grupę powstańców, rozstrzelanych nad pruszkowską glinianką. Na razie kilku pobito i pozrywano polskie odznaki.

Pułkownik Sieber, odpowiedzialny za dotrzymanie umowy kapitulacyjnej przedstawiciel Wehrmachtu, interweniował natychmiast. Dla niego była to sprawa osobistego honoru, którego strzegł w czasie czterdziestoletniej służby, i honoru armii niemieckiej, który był dlań równie ważny.

Teraz wszystko zależy od stanowczości, odwagi tego człowieka, który starał się wyeliminować gwałt i okrucieństwo z prusz-

kowskiego obozu. Rozkazem i przykładem pociągał za sobą podkomendnych, korzystając z wsparcia kilku podobnych mu ludzi dobrej woli. Jego dotychczasowe zarządzenia pamiętaliśmy dobrze. Po objęciu komendy zakazał strzelania, bicia, kopania i noszenia pejczy. Zabronił rozbewstwiłym kolejarzom niemieckim „gościnnych występów” na rampie kolejowej i przy selekcji, gdzie wcześniej bezkarnie pastwili się nad bezbronnymi, nie szcędząc chorych i dzieci. Posunął się tak daleko, że odradzał swoim podwładnym noszenia broni krótkiej, bo zbyt łatwo można jej użyć pod wpływem emocji. W rezultacie tylko pełniący służbę wartownicy byli uzbrojeni w nieporęczne karabiny. Do tej listy zarządzeń można by dodać wiele przykładów jego osobistych interwencji przeciwko chamskim i brutalnym wybrykom funkcjonariuszy Arbeitsamtu, policji lub partii. Te wszystkie mniej lub bardziej znane informacje podawano sobie szeptem. Pułkownik jest twardy, podobno z całej duszy nienawidzi „policyjnej bandy”, jak zwykle nazywa owych panów, ale teraz to już nie jest kwestia słów ani przekonań. Tu trzeba czynu.

Dyskusja w wagonie zmieniła się w kłótnię. Kilka osób zrywa się z miejsc, pułkownik stoi nadal wyprostowany. Profil na tle szyby stał się podobny do drapieżnego ptaka, a cała postać jakby urosła. Wypowiadane słowa muszą mieć najwyższą wagę. I naraz tamci jakby sflaczeli, zmiękli. Ktoś odwrócił się plecami, ktoś opadł na krzesło, inny oparł się o szybę, bębniąc palcami w przejrzystą tafłę. Sieber stał jeszcze chwilę nieruchomo, po czym zasałutował rutynowo, po wojskowemu (nigdy nie widziałam, aby używał hitlerowskiego pozdrowienia) i wyszedł. Zbiega po wąskich schodkach. Zaczzerwienione policzki, szczęki mu jeszcze chodzą, rozdęte nozdrza łapią gwałtownie powietrze, ale już w zmarszczkach wokół oczu rodzi się przekorny uśmiech. W tej chwili wygląda młodo. Zwyciężył! Wydaje krótki rozkaz i kolumna polskich jeńców formuje się, rusza z powrotem do baraku. Tylko jasnowłosy chłopak stoi jeszcze z uwieszoną na szyi matką.

Zawracam z placu przed piątką. Mam już dość.



Pośrodku placu wolne miejsce jak arena... Która to już dziś cyrkowa scena? Żandarmi i kolejarze trzymają kordon. Kretschmer z Arbeitsamtu miota się wściekle. Policja i Arbeitsamt działają

w najwyższej pasji, nie pomijając żadnego z prawideł gry. Segregują ludzi, wyszarpując z tłumu zdolnych ich zdaniem do pracy. Odrywają od rodzin i bliskich. Dosłownie odrywają, bo czasem ręce czepiają się rozpaczliwie ubrania, palce kurczowo zaciskają się na jakimś rękawie czy brzegu płaszcza.

Na tym placu w czasie takiej jak dziś, „na ostro” prowadzonej selekcji widzi się sceny jak z klasycznej tragedii. Kobieta bez nogi zostaje z czworgiem oszalałych z przerażenia dzieci, a męża zabierają siłą. Ojcu, jedynemu opiekunowi starszej nieco gromadki, po błagalnych, upokarzających prośbach zezwala się łaskawie wziąć dzieci ze sobą na roboty. Padają na ziemię, wytrącane z czyjejs drżącej ręki, bezcenne dokumenty, które miały być wybawieniem. Znany z brutalności niski kolejarz, któremu zabroniono udziału przy wychodzących transportach, działa w najlepsze, rozdając szturchańce i kopniaki, jakby był pośród stada rzeźnego bydła. Panująca dziś w obozie atmosfera dodaje mu śmiałości.

Ostatnia scena, którą widziałam, była straszna, tym bardziej że odbywała się w spokoju. Mężczyznę oddzielono od żony i małej córki. Wysoki, w brązowej kurtce „maciejówce” i butach z cholewami szedł spokojnie przez pusty plac. Rozszerzone zdumieniem szafirowe oczy patrzyły w niebo. Wyglądał jakby się modlił o cierpliwość, żeby nie rzucić się na tych zbirów. Nagle za jego plecami rozległ się donośny głosik: „Tato! Tato!”. Mężczyzna znieruchomiał, nie odwracając głowy. Od stojącej bezradnie matki odbiegła dziewczynka, pędząc za ojcem. Rączki wyciągnięte, króciutkie warkoczyki trzęsą się nad uszami, niebieskie, podobne do ojcowskich, oczy wlepione w tkwiącą pośrodku placu sylwetkę. Dziecko rzuca się do mężczyzny, obejmuje czarne cholewy, przywierając buzią do tatowego kolana.

On stoi chwilę jeszcze nieruchomo, potem schyla się bardzo wolno, jakby z wysiłkiem, delikatnie odrywając ręce córki od swoich nóg i unosi je w górę, przyciskając mocno do szerokiej piersi, która musiała się temu dziecku zdawać najbezpieczniejszym miejscem na świecie, po czym zawraca ku żonie. Całuje raz jeszcze rumianą buzię i ostrożnie oddaje małą w ramiona matki. Potem ruchem pijanego odwraca się i wolno idzie w kierunku mężczyzn przeznaczonych na roboty. Z oczu kapią wielkie łzy na czarne sumiaste wąsy. Tej sceny nie przerwał żaden okrzyk, nie

padło żadne słowo – odbyła się w przerażającej ciszy. Wszyscy patrzyli. Odwracam się i odchodzę, nie mogę już dłużej. Idę wolno. Kolana uginają mi się bezwładnie. Z trudem przekraczam szyny.

Kilkanaście metrów za torami idzie König. Podąża na dwójkę, jak zawsze o tej porze. Patrzy w moją stronę – szara sylwetka z zamazaną twarzą. Wszystko jest nieostre i zamazane. Nagle König skręca, jest blisko. Słyszę wyraźny, choć daleki głos, pełen niepokoju:

– Danuszka, was ist los?*

Podtrzymują mnie czyjeś ramiona. Ulga, że nie jestem sama. Trzęsę się cała, czuję w gardle skurcz płaczu, lecz przytomnieję. Słyszę swój własny głos:

– Ja więcej do pracy nie przyjdę! Es ist zu viel, zu viel!** I pan, i jeszcze pan od rana, ja tego nie zniosę! Ja na ciebie liczyłam, wierzyłam, że... – pozwalam sobie na szczerość.

– Uspokój się, mała, uspokój się, no cicho, cicho... Idź do domu i wyśpij się porządnie, to z przemęczenia. Idź do domu, słyszysz! Nie przychodź jutro do pracy!

Trzyma mnie mocno, gładzi jak dziecko, potrząsa mną leciutko. Głos jest kojący, nigdy nie słyszałam tego ciepłego tonu u Königa. Powoli, powoli coś się we mnie rozluźnia, drżenie ustępuje, za chwilę popłyną łzy. Uwalniam się z oplatającego mnie uścisku, nie patrzę na pochyloną nade mną twarz. Nie chcę, żeby widział, jak płacę, ale wiem, że dobrze zrobiłam, dając swobodnie płynąć słowom. One coś przełamały.

– Schon gut, Herr Stabsarzt, danke. Ich werde schon gehen***.

Nie podnosząc głowy, idę szybko w stronę bramy. Niech myśli, że poszłam do domu.



Nazajutrz oczywiście przyszłam, tyle że trochę później. Czulałam się zresztą nieźle. Łzy przyniosły ulgę. König rzucał mi ukradkowe, badawcze spojrzenia i otaczał istic królewskimi

* Danuszka, was ist los? – Danuszka, co się dzieje?

** Es ist zu viel, zu viel! – Tego już za dużo, za dużo!


*** Schon gut, Herr Stabsarzt... – Już dobrze, panie doktorze, dziękuję. Już pójdę.

Kinostražák Bodewald
Auf Lagerlager Pruszków.

Die Schwester Anna-Martha Leśniowska, Kosc. - Br.
127977 - ist berechtigt die Halle 8 zwecks Betreuung der Insassen zu
betreten.

Pruszków, den 25.11.44

W. Weigl
Hr. W. J. Goff.



Zezwolenie na wejście do hali nr 8 wystawione przez żandarmerię obozową 25.11.1944 r.

Zulo
Otw. są w Komorowie
u St. Dyzgata

Tarasiewicz za bramy
wsiadł w auto.
Jego żona jest w Piasecz-
nie i sprowadzi papierony
Czy możesz dziś wychwycić
Saloniego do żony w Górzach
Emil

Styżen Obliczenia lat 28. Dariusz Pienka 25
wider Janina Elżbieta Obliczenia lat 1

poniedziałek był znikł widać kilka dni temu
zamieszkała - Problem który obliczenia al. Dariusz
wła p. lat

Wszystko co nie może być obliczone dawkami. Wtedy był
o. Pienka na polu w ok. S.B.K. - Wtedy sprowadził
o. Pienka w. Pienka. Wtedy był. Wtedy był. Wtedy był.
Wszystko co nie może być obliczone dawkami.

Liściki (powyżej od Eryka Lipińskiego) z archiwum rodziny Kazimierzy Drescher

Dzisiaj Bani Lulo - Wielka praca
wtedy było wszystko się w sobie
o. Pienka w. Pienka. Wtedy był. Wtedy był. Wtedy był.
3. Wtedy był. Wtedy był. Wtedy był.

Janina Łonka

Prilag 121
Kazimierz

P.M., den 26. XI. 1944.

Truppenärztliche Bescheinigung.

Herr Wladislaw Lemniewski
(K.K. 127976, geb. 28. VI. 1884) leidet
an einer rezidivierenden Trigeminus-
Neuralgie sowie chronischem Fröhies. Er
ist aus dem Lager Pruszków zu entlassen
in nicht arbeitsunfähig.

W. Weigl




Zaświadczenie o złym stanie zdrowia wystawione ojcu Autorki przez dr. Weigla 26.11.1944 r.

Dulagu 121 Pruszków, den 6. Dezember 1944

Bescheinigung.

Der Schwester Danka Leśniowska wird bescheinigt,
daß sie in Dulagu 121 Pruszków arbeitsfähig ist.
Auf Grund vorliegenden ärztlichen Gutachten wird Schwester
Danka bescheinigt. - Sie wird gebeten, ihr in jeder Beziehung be-
hülflich zu sein auf ihrem Wege beim Veranlassen zu werden.

Siebers



Zaświadczenie o zatrudnieniu w Dulagu 121 z podpisem komendanta Siebera uprawniające do wyjazdu na urlop z 6.12.1944 r.



Kurt Sieber (w środku).



Naczelnny lekarz obozu Dulag
121 dr Adolf König



Sierżant sztabowy
Karl Fritz Wolff



Dr Herbert Weigel